

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Żywa idea czy zabytek muzealny?

W sporze polsko-litewskim o Wilno od samego początku zaznaczyły się wyraźnie cztery kierunki myśli politycznej. Nacjonalizm litewski dążył i dąży do stworzenia Litwy narodowej na podstawie koncepcji Klimasa, która znalazła swe urzeczywistnienie w traktacie litewsko-sowieckim z r. 1920. Nacjonalizm polski wysunął postulat wcielenia Wileńszczyzny do Polski, mający dziś wartość faktu dokonanego, lecz kwestjonowanego przez stronę przeciwną. Program federalistów przewidywał wspólność państwową Polski i Litwy, zapewniającą oczywistą przewagę Polsce. Wreszcie ideą przewodnią krajowców jest wskrzeszenie historycznego samodzielnego W. Ks. Litewskiego w formie nowoczesnego związku państwowego litewsko-białoruskiego.

Dla uzupełnienia obrazu należy jeszcze wspomnieć o prądach białoruskich, z których jeden marzy o stworzeniu niepodległej Białorusi, obejmującej zarówno część jej zachodnią z Wilnem, jak też wschodnią z Mińskiem, a drugi zdradza niedwuznaczne aspiracje w kierunku zjednoczenia wszystkich ziem białoruskich (włącznie z Wilnem) pod znakiem sierpa i młota.

Widzimy z tego, że problem wileński należy do najbardziej skomplikowanych zagadnień ze względu na działanie czynników potencjalnych, chociażby formalnie uchodził on za definitywnie uregulowany. Trzeba być bardzo krótkowzrocznym politykiem, by opierać swe rachuby wyłącznie na momencie statycznym, nie biorąc pod uwagę ani tendencji rozwojowych wewnętrznych ani też bezustannie działających sił zewnętrznych.

Nie świadczy również o przezorności polityków rzucanie w tłum hasel nieprzejednanego, w rodzaju „Be Vilniaus mes nenurisime”, podniecanie uczuć narodowych, bez wskazywania jednocześnie wyjścia, bez określonego planu działania. Czy kierownicy nawy państwowej w Kownie mają przed oczami wy-

tkniętą drogę, po której krocząc niezawodnie dojdzie się do celu upragnionego? Czy potrafią wskazać konkretny sposób odebrania Wilna Polsce? Ogólnikowa formuła, że „czas pracuje dla nas” nie może wystarczyć. Któż zaręczy, że czas nie będzie pracował dla kogoś trzeciego?

Rachuby na powikłania i wstrząśnienia na Wschodzie z łatwością mogą zawieść. Nie trzeba zapominać, że czerwony Mińsk nie drzemie, że ruch białoruski znajduje się zaledwie w początkowym stadium swego rozwoju, że przyszłość najbliższa wobec szalonych eksperymentów, jakich widownią jest dziś imperjum sowieckie, przedstawia się groźnie i zagadkowo. O tem niebezpieczeństwie na skalę globalną, wobec którego obecne zatargi graniczne i spory terytorjalne między państwami burżuazyjnymi wydają się dziecinną zabawką, nie pamięta ani jedna ani druga strona, obie zaślepione i przekonane o swym ostatecznym triumfie. Przykład fanatycznych mniichów bizantyjskich, kłócących się o właściwe poj-mowanie Krzyża, gdy na murach Konstantynopola powiewał już sztandar z półksiężycem, powinien chyba czegoś nauczyć i doprowadzić do opamiętania współczesnych wyznawców doktryny nacjonalistycznej. Czyż nie są o wiele straszniejsze od hord muzułmańskich miljonowe zastępy „bezbożników”?

Naprawdę wobec wspólnego niebezpieczeństwa ostatni już czas zejść ze stanowiska nieprzejednanego i szukać jakiegoś porozumienia na podstawie wzajemnych ustępstw. Trudne to zadanie, ale nie jest ono niewykonalne. Sama Opatrzność zsyła nam wskazówkę, gdy właśnie na rok bieżący przypada pięćsetna rocznica zgonu wielkiego księcia Witolda. Ku uczczeniu jego pamięci urządza liczne i uroczyste obchody Litwa Niepodległa. Wilno również szykuje się do złożenia należnego hołdu swemu znakomitemu władcy. Ale nie w objawach kultu zewnętrznego, nie w słowach, ceremonjach i pomnikach winna się wyrazić cześć dla twórcy sławy i potęgi W. Ks. Litewskiego. Zrozumienie jego idei, przeję-

cie się nią, dążenie do jej restytucji — oto byłby prawdziwy hołd, złożony bohaterowi Litwy.

Niestety szczupłe są szeregi tych, którym przyświecają ideały wielkiego Kiejstutowicza. Obce one są i nacjonalistom litewskim i nacjonalistom polskim i nacjonalistom białoruskim. Nie rozumieją ich i nasi federaliści, którzy nie odróżniają, zdaje się idei Jagiellońskiej od idei Witoldowej.

Wiemy dobrze, do czego dążył przez całe życie Witold: do stworzenia niezawisłego państwa, złożonego z ziem litewskich i ruskich. Zdając sobie dokładnie sprawę z trudnej sytuacji Litwy, z jednej strony wystawionej na żelazny i konsekwentny napór teutoński, a z drugiej zmuszonej się bronić przed żywiołową ekspansją Moskwy, genialny polityk obrał najtrafniejszą drogę — utrzymywania wspólnego frontu z Polską, zagrożoną również przez wspólnych wrogów, zastrzegając się jednakże stanowczo przeciwko jakiegokolwiek jej supremacji. Nie widział bowiem powodu dla czegoby Litwa miała być zależną od Polski, a nie odwrotnie. Poprzestawał zresztą na dążeniu do utrzymania stanowiska równorzędnego. Życie jednego człowieka nie wystarczyło, by plan ten zrealizować i oprzeć go na trwałych podstawach. A nie znalazł Witold następcy, któryby mógł i chciał prowadzić dalej rozpoczęte przezeń dzieło.

Chciwość i łapczywość panów małopolskich obróciły w niwecz zamierzenia Witoldowe. Samodzielność W. Ks. Litewskiego nie dała się utrzymać. Polska przeobraziła się w twór państwowy o niezdecydowanym wyglądzie, o dziwacznej formie, nieprzystosowanej zupełnie do ówczesnych warunków, a zwłaszcza do trudnej sytuacji międzynarodowej. Nie mogąc dać rady podjętym ponad siły zadaniom i sama osłabła i zaprzepaściła odziedziczoną po Gedyminie, Olgierdzie i Witoldzie spuściznę. Kto wie, jaką drogą potoczyłyby się dzieje, gdyby na rubieży Wschodu i Zachodu istniało państwo o tym charakterze, jaki mu chciał nadać Witold!

Dziś po pięciuset latach jakże mało w gruncie rzeczy zmieniła się sytuacja. Nie zaniknął dotąd ten sam niemiecki „Drang nach Osten”, pozostała ta sama krótkowzroczna polityka polska, przywiązująca większą wagę do formy, niż do treści, pozostała znów walcząca o swój byt Litwa i rośnie z dnia na dzień tajemnicza, niezbadana, jak dawniej, potęga moskiewska. Niema tylko drugiego Witolda, któryby potrafił znaleźć wyjście z wszystkich tych trudności i przeciwieństw.

Ale są jego wskazania, które i dziś w zmienionych kształtach, lecz identyczne w treści nie utraciły nic ze swej wartości. Trzeba tylko dobrze je uświadomić i ocenić ich zbawienność, a nie traktować jako zabytku muzealnego tylko. Gdy to nastąpi, porozumienie Wilna z Kownem, a w dalszej perspektywie i z Mińskiem nie będzie, jak dotąd, natrafiało na przeszkody niezwalczane. Bo tradycją przekazaną nam przez budowniczego wielkiej Litwy jest wspólna państwowość, a nie asymilacja narodowa i językowa...

O suchych gałęziach.

Proszę o głos.

Chcę mówić szczerze i otwarcie.

Do mego artykułu „Bezpodstawne przywłaszczenie”, redakcja „Przeglądu Wileńskiego” dodała swój komentarz, nie tylko odnośnie do poruszonej przeze mnie sprawy obchodu jubileuszu Witolda Wielkiego, ale mimochodem zahaczając o zasadniczą kwestję stosunku publicystyki litewskiej do objawów sentymentu krajowego wśród miejscowego społeczeństwa polskiego.

Został wysunięty zarzut tłumienia iskierek owego sentymentu przez prasę litewską. Warto więc zastanowić się nieco nad temi objawami, na czym one polegają i jak wyglądają. Mam oczywiście na myśli ogół Polaków litewskich, olbrzymią jego większość, a nie wyjątki, do których zaliczam zwolenników ideologii „Przeglądu Wil.”.

Historja odrodzenia narodu litewskiego jaskrawo wykazuje jakie stanowisko zajęło społeczeństwo polskie w stosunku do narodowych dążeń litewskich. Dostyć przypomnieć rok 1883, kiedy wyszła „Ausra”. Już wówczas prasa polska na czele z „Dziennikiem Poznańskim” zajęła tak wrogą postawę, iż nie zawahała się nazwać pierwszego pisma litewskiego zdradzieckim czynem. To był początek. Od tego czasu do dnia dzisiejszego co najmniej 90 proc. prasy polskiej trwa na zajętem przez „Dz. Poznański” stanowisku w stosunku do odradzającej się Litwy. Im wyżej Litwa podnosiła głowę, z tem większą zaciętością prasa polska ją zwalczała, wciąż przypominając przeszłość, ale zapatrując się na nią wyłącznie przez pryzmat polskiej racji stanu. A kiedy cały naród litewski dał wyraźnie do zrozumienia, że do dawnych błędów nie powróci, wówczas prasa polska przeszła do generalnej ofensywy przeciw „litwomonom”, przeciw ich „zdradzieckiej” polityce.

To były czasy przedwojenne. Nastąpiła wojna, podczas której wszystkie ujarzmione narody jęły się sztykować do walki o wolność. Nie pozostał w tyle i naród litewski, bo przez odrodzenie narodowe już był przygotowany do życia samodzielnego. W Wilnie, w prastarej stolicy Litwy, rzecz prosta, powstają pierwsze zaczątki państwowości litewskiej. Co na to Polacy litewscy? Czy wyciągnęli ręce do braci Litwinów, czy zaproponowali wspólnymi siłami pracować nad wyzwoleniem ojczyzny? Przeciwnie. Powierzchny sentyment znikł bez śladu, całe społeczeństwo polskie uznało za najlepsze wyjście zwrócić się do Warszawy i tam szukać pomocy. Z niechęcią traktowano sam termin „Litwa”. Ogólnem dążeniem była Warszawa.

Dzisiaj nieraz się wytyka endekom, iż oni najgłośniej gardłowali za „wcieleniem bez zastrzeżeń”, w rzeczywistości endecy tylko krzyczeli, zaś demokraci wspólnie z endekami, których rzekomo nienawidzą i namiętnie zwalczają, nad tem usilnie po cichu pracowali. Kto wówczas śmiało odezwać się krytycznie o tem powszechnem ciężeniu i jemu się przeciwstawiał, ten stawał się „zdrajcą”. W takiej atmosferze zaczęło żyć Wilno po wojnie. Kto myślał inaczej niż przeciętny ogół, ten był wyrzucany poza nawias życia; zresztą takich ludzi pośród społeczeństwa polskiego było bardzo mało.

I właśnie, kiedy Litwini wyęźali siły dla odrestaurowania dawnej Litwy — Polacy litewscy z całą świadomością krzyżowali te plany błagając o pomoc Warszawę. Dziesiątkami lat prowadzona kampanja prasowa przeciwko „litwomonom” wydała bujne

owoce, zniweczyła ideę wielkiej Litwy. A im dalej, tym było gorzej. Przypomnijmy sobie czasy „Naszego Kraju”, „Ziemi Wileńskiej”. Ile tam sztyrdystwa, ile drwin, ile wściekłych ataków przeciwko Litwie? Niedawne to przecie czasy.

Wreszcie któż ostatecznie zerwał wspólne nici, kto podeptał łączność Wilna z Kownem? Czy nie pamiętna tragedia Wilna w dn. 9 października 1920 r.?

A co potem? Potem przyszły czasy „Słowa”, „Dziennika Wileńskiego”, no i „Kurjera Wileńskiego”. Te właśnie organy wspólnie za wszelką cenę, ślepo słuchając dyrektyw warszawskich, nadal zatrwały polską opinię siejąc nienawiść do Litwy. I tu dochodzimy do istoty omawianego zagadnienia, do zarzutu rzekomych drwin zę strony publicystyki litewskiej z sentymentów Polaków litewskich.

Bo gdzież ów sentyment, gdzie chociaż najmniejszy objaw tego sentymentu? Nie znajduję go. Być może, że nie umiem go szukać, że mam wzrok przytępiony. Ale na miłość Boga, pokażcie nam, Litwinom ten sentyment społeczeństwa polskiego do Litwy. Niestety. Zamiast sentymentów znajdujemy co innego. Nie potrafię wskazać ściśle numerów, ale p. Cat w swoim organie nie raz wspominał, że lud po tamtej stronie (czytaj w Litwie) wówczas odetchnie swobodnie, kiedy się tam zjawi oficer polski. To samo „Słowo” w październiku 1927 r. podczas historycznych „retorsyj” wydawało nadzwyczajne dodatki o aresztach i wysiedleniach „agentów kowieńskich”, wszystkie dzienniki polskie w jeden głos wołały o pomstę do nieba z powodu zmyślonej wiadomości o internowanych w Worniach nauczycielach Polakach, wzywając do odwetu. Kto wówczas był w Wilnie, mógł obserwować, jak szeroka opinia była systematycznie i zręcznie podburzana przez niesumienną agitację. Nawet demokratyczny „Kurjer Wil.” spadł do poziomu „Dziennika Wil.”.

Tak. Może moje twierdzenie jest stronne, może mi ktoś zarzuci, że będąc Litwinem oskarżam o sianie nienawiści tylko prasę polską, a zgoła nic nie mówię o szowinistycznej prasie litewskiej. Odpowiem na to krótko. Nie poruszam stanowiska prasy litewskiej dlatego, że ona zajmuje stanowisko wyłącznie obronne.

Zarzuca redakcja „Prz. Wil.”, że litewska publicystyka nie szuka wspólnego języka politycznego pomiędzy Kownem a Wilnem. Otóż właśnie, że tego języka szukamy bezowocnie już od 10 lat, a Polacy litewscy wciąż milczą i oglądają się na Warszawę.

I nie tylko się oglądają, ale w tym kierunku uporczywie działają nie chcąc nawet słyszeć o Litwie. Inteligencja wileńska ma wstręt do Litwy, dla niej Litwa jest czemś obcem, okropnem. Dla niej istnieje tylko Warszawa. I ci ludzie w imię swojej wszechpolskiej ideologii mają pobożność tłumu, każą mu wierzyć i modlić się do obcych bogów. Rozumie się, że świątynia dla tłumu nie może być zamknięta i nie będzie. Ale cóż warte jest nabożeństwo, gdy na niem się gromadzą sami niedowiarkowie i szyderycy?

Również Litwa nie wyrzeka się synów marnotrawnych, ale gdy nie widzi w nich żadnej skruchy i poprawy, gdy spotyka się jedynie z naigraniem i brakiem wszelkiego przywiązania, cóż jej pozostaje innego, jak przekląć wyrodne potomstwo i ratować zdrowy pień, obcinając suche gałęzie? Z konieczności to musi czynić, bo innego wyjścia niema.

R. Mackiewicz.

(Przyp. Red.) Jesteśmy naprawdę wdzięczni p. Mackiewiczowi, że swe repliki przesyła nam bezpośrednio, zamiast zamieszczać je, jak to się zwykle praktykuje, w pismach litewskich, co niezmiernie obniżyłoby wartość dyskusji, ponieważ czytelnicy nasi nie mieliby możliwości zapoznać się dokładnie z argumentami strony przeciwnej.

Właściwie wywody p. Mackiewicza odbiegają od tematu przez nas poruszonego. My mówiliśmy o sentymencie Polaków litewskich do przeszłości Litwy, p. Mackiewicz zaś wytyka obojętność a nawet wrogi stosunek społeczeństwa polskiego do Litwy odrodzonej, współczesnej. Na tym punkcie nie będziemy się z nim spierali. Niejednokrotnie sami piętnowaliśmy stanowisko inteligencji polskiej, zwłaszcza miejscowego ziemiaństwa względem odrodzeniowego ruchu litewskiego przed wojną i po wojnie. Poszczególne momenty historyczne, jak np. czasy okupacji niemieckiej i działalności Taryby wymagałyby bardziej gruntownego oświetlenia i pewnych poprawek, gdyż do wytworzenia się ówczesnych nastrojów pro-warszawskich w Wilnie nie mało przyczynił się również nacjonalizm litewski, zapatrujący się po doktrynersku na żywioł polski w naszym kraju i nie doceniający jego siły i znaczenia. Na ogół jednakże nie możemy zarzucić bezpodstawności sceptycyzmowi publicystyki litewskiej i rozumiemy doskonale gorzkość, płynącą z jego zarzutów, gdy kreślił niewesoły obraz stosunków polsko-litewskich w ciągu ostatniego półwiecza.

Ale, powtarzamy, my mieliśmy na myśli nie dzieje emancypacji narodowej Litwy, lecz tradycje W. Ks. Litewskiego, na których jedynie można budować *organiczną* łączność Wilna z Kownem. O tem zresztą obszerniej piszemy w artykule wstępnym.

Metropolita Andrzej Szeptycki jako działacz społeczny i narodowy.

Ujmując całokształt społecznej działalności hr. Andrzeja Szeptyckiego, od 1899 r. metropolity gr. kat. cerkwi w Galicji musimy stwierdzić, iż praca jego odznacza się osobliwą prostolinijnością, a zatem wielką wewnętrzną spójnością i ideologiczną jednolitością. Wychowany w rodzinie katolickiej, przechodząc do obrządku greckiego postawił sobie za ideał duszpasterstwa wszczepienie wiernym wschodniego obrządku takie zrozumienie nauk i doktryn ojców i wielkich pisarzy Kościoła zachodniego, jakie u nich jest dla nauk i myśli ojców Cerkwi wschodniej, tych wielkich podstaw nauki chrześcijańskiej. Dla obeznanych z historią greckiej i łacińskiej patrystyki, jako też z rozwojem myśli filozoficznej chrześcijańskiej, począwszy od wielkich myślicieli chrześcijańskich Pawła Apostoła i Jana Ewangelisty do takich wyrazicieli współczesnego ideału Kościoła katolickiego, jaki spotykamy w mistyce i ascezie Tomasza a Kempis, i w działalności społecznej Andrzeja Loyoli i Piotra Skargi, taki stopień rzeczywistego zrozumienia i ujęcia jednej myśli przewodniej, któraby złączyła nie tylko unitów ale i cały prawosławny wschód z katolickim zachodem pozostaje do dziś dzień niedoścignionym ideałem. A jednak w działalności ks. metropolity ten stopień jest niewątpliwą rzeczywistością.

Stało się to może dlatego, iż przeżył on wielką szkołę systematyki myśli i życia w naukach prawnych, filozoficznych i teologicznych, a wszystką nabytą wiedzę miał możliwość w czasie klasztornych

kontemplacyj i codziennych rozmyślań połączyć w pewną całość z nabytymi spostrzeżeniami. Możliwość uzgodnienia myśli teologicznej wschodniej z kierunkami zachodnimi zaświadcza rozwój nauk teologicznych za jego władcy we Lwowie: „Chrystijański Wostok” i „Katołyckij Wschid”, „Nywa” i „Bohosłowia”, formowanie obok bazylianów, po reformacji ich przez jezuitów zakonu studentów, osnuto na pierwotnych przepisach Teodora Studyty i na dawnym obrządku starej Cerkwi, — oto przejawy osobliwszych kierunków myśli teologicznej wewnątrz duchowieństwa ukraińskiego Cerkwi wschodniej, które bezwarunkowo zawsze schodzą się w jednym łożysku katolicyzmu. Kto tylko dobrze zna ducha historii Cerkwi wschodniej, kto rozumie dzieje jej przeważnie bardzo pospolitej rzeszy wiernych, która od różnych państwowości i państwowych wyznań przyzwyczaiła się znosić ucisk i zaznawać pogardy, ten zrozumie wielkie praktyczne znaczenie unii-stycznych dążeń tego międzycerkiewnego działacza i stworzonej przezeń możliwości ideowego porozumienia ludzi dwóch światów.

Syn bogatych rodziców, potomek starego rodu szlacheckiego, wprowadził jeszcze do połowy 18 w. związanego z Cerkwią wschodnią, ale już od końca 17 w. wybitnie zachodniej kultury, obcej szerokim rzeszom ludu, swoim wychowaniem i wykształceniem należał zawsze do Zachodu; ale swoimi sympatjami naukowymi i artystycznymi pozostaje wierny Wschodowi. Jego matka, córka słynnego komedjopisarza polskiego hr. Fredry przelała na swego syna zamiłowanie do rysunku i malarstwa, które też cechowało go podczas studjów uniwersyteckich w Krakowie. W czasie podróży swoich po najświetniejszych galerjach Europy rozwinął to zamiłowanie do stopnia rzeczywistego znawstwa sztuki zachodniej. Łączyły jego węzły szczerych stosunków towarzyskich z całym szeregiem wybitnych malarzy polskich, we Lwowie osobliwie ze Stanisławem Debickim, a w Krakowie z Jackiem Malczewskim, którego cały szereg wybitnych utworów lat 1900—8 posiada, ale po dzień dzisiejszy najpiękniejszym utworem sztuki pozostaje dla niego dobra ikona bizantyjsko-słowiańska, a jeszcze lepszym silnie akcentowany prymityw starobizantyjski.

Tylko na tem tle tej wspaniałej dwoistości smaku estetycznego rozwija się jego działalność jako mecenasa sztuki ukraińskiej, która od 1898 r. znajduje w nim stałego odbiorcę, znawcę, hołdownika, przyjaciela i opiekuna.

Osobna galerja sztuki ukraińskiej w Muzeum Narodowym, jego naukowej fundacji 1905 r., niezły dział w niem utworów sztuki zachodniej i polskiej, ale jedyny w swoim rodzaju zbiór bizantyjsko-słowiańskich ikon (150 sztuk) i tyleż iluminowanych rękopisów 14—18 w., biblioteka patrystyki greckiej i kultury bizantyjskiej, jakieś 1000 sztuk monet bizantyjskich i dobrych bronzowych wykopalisk z epoki księstwa halickiego i kijowskiego, wszystko to razem z drogocennym zbiorem materiałów do historii unji odnoszących się — świadczy o wielkiem twórczym napięciu jego artystycznych i naukowych sympatyj, które wyloniły się z materialistycznej kultury Zachodu, a wyrosły i rozkwitły na żyznej glebie wewnętrznego piękna kultury Wschodu. Najwyższym wyrazem tego służą takie fakty, jak opieka nad rozwojem artystycznym Modesta Sosenki, który stworzył swoisty styl dekoracji ściennej świeckiej i kościelnej i portretu hieratycznego, wydatna pomoc finansowa expresjonście Ołeksie Nowakiwskiemu

i założenie studjum prymitywu i sztuki stosowanej pod kierownictwem takich wybitnych przedstawicieli bizantyzmu w sztuce ukraińskiej — jak Michał Bojczuk i Michał Osińczuk.

Dzięki tej wybitnie wielostronnie rozwiniętej kulturze duchowej mógł zrozumieć metropolita Szepetycki, jak żaden z jego poprzedników i współczesników hierarchji cerkiewnej, potrzeby kultury narodowej ukraińskiej. A więc doraźna pomoc uczącej się młodzieży, której na popołudniowych audjencjach u niego bywa pokaźna rzesza, stała wyposażenie szkolnych i rzemieślniczych burs dla chłopców i dziewcząt, utrzymywanie sierocych przytułków, stypendja indywidualne na wykształcenie wyższe, przeważnie artystyczne zagranicą, osobliwsza opieka nad wykształceniem wyższem swojego kleru, a obok tego świadczenia nawet pojedynczym wsiom na własne czytelnie i domy ludowe... A we Lwowie od 30-tu lat chętnie udziela pomocy finansowej ukraińskiemu stowarzyszeniu ekonomicznemu i przedsiębiorstwom przemysłowym, szczęśliwie przeprowadza parcelację kilku majątków ziemskich i funduje szkoły gospodarstwa rolnego w Myłowaniu i Korszowie, wyposaża ambulatorjum dla chorych, tworzy poradnię dla matki i dziecka, stwarza wielką fundację dla powojennych sierot w liczbie 500 dusz, niesie osobiście doraźną pomoc w czasie tyfusu plamistego w 1918 — 20 r. i ofiarom powodzi 1927 r. — oto codzienne tło jego życia duchowego. I tło wcale nie szare, przeciwnie bardzo zmienne, na którym jak w kalejdoskopie układają się różnobarwne kamyczki nędzy i potrzeb żywych ludzi w piękne obrazy marzeń o... szczęściu ludzi, o raju na ziemi.

(D. n.).

J. Swiencickij.

WOLNA TRYBUNA

Nieporozumienie, wymagające wyjaśnienia.

Dylemat połączenia *sprawiedliwości z miłością bliźniego*, będzie do końca świata jednym z najszczytniejszych zadań ludzkości.

Etyka — owa boska równowaga między prawem a miłością, — której potrzebę w polityce tak pięknie bronił autor wstępnego artykułu w poprzednim numerze niniejszego „Przeglądu” p. t. *Umoralnienie polityki* — ta nauka, czy cnota, przywoływana teraz po największej wojnie nowożytnych czasów przez wszystkie ludy świata i we wszystkich dziedzinach konstrukcji lub rekonstrukcji moralnych, etyka — musi być, i jest ideałem w tej sprawie, która weszła u nas teraz na porządek dzienny — w sprawie — „Rewindykacji kościołów i cerkwi”, przemocą w swoim czasie wydartych przez zaborcę i jego zwolenników Kościołowi Katolickiemu. — Smiało tak czyn ten określić można, ponieważ *wydarzenie przemocą* jest faktem historycznym. Jedno zaś ma znaczenie — przemoc, czyli gwałt moralny wykonywany nad ciemnymi masami, czy gwałt fizyczny wykonany nad inteligencją i ludźmi zdecydowanych przekonań. Oba gwałty święciły triumfy przy kasowaniu Unji w 1839 roku.

Skoro wolność nasza narodowa i państwowa wydobyła się z grobu, wykopanego przed laty 150 i odżyła, depcząc wszystkie wyroki *legalizmu* zaborców, czy mogliśmy zostawić lud i zostawać sami

dalej, pod depresją moralną wytworzoną przez akt przemocy wywarły przed laty 90?

Dziwić się raczej można, że reakcja na forum publicznym wypłynęła tak późno, że niepierwój ją rozpoczęli biskupi nasi, naturalni stróże ducha i mienia Kościoła, aż po daremne przypominaniu, by w sprawę tę weszły zmieniające się wciąż gabinety rządowe. Zaprotestowali tedy w ostatniej chwili, aby kołaczące się jeszcze po kraju rosyjskie prawo dziesięcioletniego przedawnienia, nie zagroziło drogi do naprawienia krzywdy.

Niech ogół świątły odpowie—czy pasterze nasi mieli ten obowiązek czy nie? — Czy żądając naogół zwrotu jednej trzeciej część posiadanych niegdyś świątyn obu obrządków, nie dali dowodu względności i wyrozumienia względem zdeзорjentowanego ludu? Jeśli narody i państwa na ziemiach naszych, potężnym wysiłkiem woli i ofiary, odzyskały ludy i obszary swoje, czy jeden Kościół miał się zaznaczyć biernością, martwością i testimonium paupertatis?... Na to się Kościół katolicki nie zgadzał nigdy — od Colosseum do kopalni Nerczyńskich, od więzień meksykańskich do wysp Sołowieckich. Zatem Kościół biernym nie pozostał.

Weszliśmy obecnie w drugą fazę. W fazę sądów. Wobec wielkiego nieprzygotowania ogółu do ujęcia w samym korzeniu sprawy rewindykacji, wobec różnicy pojęć, kardynalnych na rzeczy poglądów, jakie się niespodzianie zaznaczyły świeżo między sądownictwem a narodem, kwestja, jakimi będą sądy jest całkowicie zagadką.

Możemy mieć sądy ludzi świątłych, dla których prawo ludzkie oparte jest na prawach wieczystych, wyrytych w sumieniu i na doświadczeniu wieków, które mówią z historii, możemy mieć sądy wyznawców li tylko kodeksów i paragrafów, które mogą wydać wyroki: *summum jus summa injuria*.

Przedwcześnie nic przesądzać nie wolno. Wszakże szczodre zaufanie, z jakim Biskupi katolicycy sprawę rewindykacji świątyn katolickich powierzyli sądom świeckim, winno je znaleźć na wysokości tego zaufania.

I gdy wreszcie po żmudnych i długich badaniach, decyzje w każdej sprawie wydane zostaną, i sprawa rewindykacji wejdzie w fazę wykonywania — można twierdzić spokojnie, patrząc na całą dziejową przeszłość narodu polskiego, że przeprowadzona zostanie nie tylko humanitarnie, lecz po chrześcijańsku. Nawroty sprawiedliwości w dziejach — bolą jednostki ale uzdrawiają ogół. W tem rozerwaniu jedności religijnej tak skomplikowanej u nas przez różne postronne wpływy od tak kilkudziesięciu, w tej dezorientacji mas — można jednak przewidywać bez wątplenia, że żadna wieś lub okolica chcącą trwać w prawosławiu — choćby zabrany kościół zwróciła — nie zostanie bez cerkwi prawosławnej, żaden pop z rodziną nie zostanie bez chleba.

Na to są dwie rękojmie: opieka rządu nad różnemi wyznaniem, i wyrozumiałość biskupów katolickich. Rząd jest w stanie naznaczyć w odpowiednich wypadkach dostatecznie długie moratorium dla wykonania wyroków, przyjść z pomocą materialną ludności w jej potrzebach religijnych na warunkach najłżejszych, pojęcia biskupa katolickiego wyraziście malują słowa biskupa pińskiego Zygmunta Łozińskiego, w jego liście „Do prawosławnej ludności”, wydanym z powodu konieczności sądów przy upływającym dziesięcioleciu.

Biskup pisze: „Spodziewałem się, również jak inni biskupi nasi, że sprawa załatwi się inaczej: Drogą porozumień. Ta nadzieja się nie ziściła“. I mówi:

„Dochodzimy tylko praw swoich. Jeśli w tym lub owym dziesiątym wypadku okaże się, żeśmy się omylili, bez wstydu wyrok przyjmujemy, bo chcemy dochodzić tylko swojego. Owszem, jeśliby się zdarzyło, że wskutek jakiejś pomyłki sąd by nam coś przysądził, do czego nie mamy prawa, sami byśmy tę omyłkę poprawili i chętnie oddalibyśmy rzecz cudzą, mając nawet za sobą i siłę i prawo formalne“. Jeszcze wyjaśnia bliżej: „W nie jednym zapewne wypadku, względy wyższe, np. łatwiejszego utrzymania zgody chrześcijańskiej będą wymagały, abym nie korzystał z wyroku. Rzadko będę miał możliwość rezygnować z praw kościelnych. Ale skoro będę widział, że sprawa Boża tego wymaga, sam będę prosił Stolicę Apostolską o niezbędne upoważnienia i nie będę obstawał przy konieczności zabrania wszystkiego, co Kościołowi się należy“.

Słowa te nie potrzebują komentarzy. Głębsze wejrzenie w całą sprawę winno przejść spokojem burzoną opinię publiczną, zgasić zarzewie agitacji w ludzie. Prasa mądra i dobrej woli, prasa baczną na wszystkie rozliczne strony życia społecznego, ma wdzięczne pole do rozjaśniania pojęć ogólnych; orjentuje się lepiej od ogółu, że wiele restytucyj sprawiedliwych jest u nas zaczętych a nie wszystkie skończone... Widzi jakie losy wprowadziły rewindykację moralnych i materialnych dóbr Kościoła na nieuniknioną drogę sądową. A jeżeli kto twierdzi, że koła katolickie popierające u nas akcję biskupów, dążą „za wszelką cenę do wytępienia prawosławia“ (co może być zrozumiane i prawosławnych), ostra i ogólnikowa forma tego twierdzenia kryje w sobie myśl zarzutu uczynionego np. lekarzowi, że dąży do zabicia choroby kosztem życia pacjenta! — Pora położyć koniec takiemu nieporozumieniu.

Konstancja Skirmuntt.

Z mego notatnika.

Fantazja i rzeczywistość.

Nikt nie odmówi prof. M. Limanowskiemu żywego umysłu i bujnej wyobraźni. Niema przedmiotu, niema tematu najbardziej błahego, z którychby nie potrafił zaczerpnąć natchnienia do wygłoszenia ex promptu kwiecistej mowy albo do napisania sążnistej artykułu. A w nich słuchacz lub czytelnik znajdzie wszystko: historję, geografję, literaturę, filozofję, śmiałe hipotezy, najdziwaczniejsze symbole, wizje przeszłości i przyszłości, wszystko pomieszane ze sobą, rwące jak wartki potok, barwne, wyraziste, oszałamiające nadmiarem metafor i nieoczekiwanych zwrotów myślowych. Barok pierwszej klasy, co tu dużo mówić!

I gdyby p. Limanowski był tylko literatem lub feljetonistą, to podziwialibyśmy jego oryginalny talent, nie wymagając odeń ani historycznej, ani logicznej ścisłości w wywodach. Ale p. Limanowski jest ponadto, a może nawet przedewszystkiem profesorem geologii i geografji, a więc człowiekiem, posiadającym autorytet naukowy. Szeroki ogół nie różnia tych dwóch stron w jego psychice i jego wystąpieniach publicznych. Każde jego twierdzenie przymuje na wiarę, jako poparte tytułem profesorskim, chociażby dotyczyło ono dziedzin wiedzy, nie mających nic wspólnego z jego specjalnością. A p. Limanowski lubi się śmiało zapuszczać nawet w całkiem nieznanie sobie krainy i torować drogę, nie na podstawie map i kompasu, jak przystało na geografę, lecz

wyłącznie za pomocą intuicji czy instynktu, który jak wiadomo, często zawodzi.

Zawodzi on też nieraz naszego fantaste, — ostatnio zaś zawiódł dotkliwie w artykule o dniu św. Kazimierza w tegorocznym „Słowie”.

Dopóki prof. Limanowski poprzestaje na zawiłych dociekaniach nad związku mistycznym pomiędzy zwożonemi na Kaziuka baljami i beczkami a drzewem Świętego Krzyża — nie mam doń żadnej pretensji. Czego nie wyimaginuje sobie człowiek, który nawet w „Broadway’u” dopatrywał się pierwiastka tragizmu antycznego! Ale nie mogą pozostać obojętnym, gdy autor z całą pewnością siebie i głębokim przekonaniem utrzymuje, że „pierwsze „Kaziuki” w Wilnie to były „Stasiuki”, związane z katedrą i cudownem nabożeństwem w sam dzień patrona” a to jedynie na tej podstawie, że i na Woli i w wielu innych miejscowościach w Polsce w dzień św. Stanisława odbywają się kiermasze, na których też „dziewcząt jest w bród” a także glinianych kogutów, ptaszków, papierowych kwiatów etc. Jeszcze bardziej zdumiewającym jest inne odkrycie p. Limanowskiego: że „carat moskiewski nienawidził „Kaziuka” i że władze rosyjskie przeniosły kiermasz z placu katedralnego na Łukiszki, ze względu na bliskie sąsiedztwo relikwii św. Kazimierza, mówiących „o pogromie Moskwy na początku szesnastego wieku”...

Szanowny panie profesorze! Wszystko ma swoje granice. Wyobraźnia również powinna mieć jakiś hamulec. Nie wypada przecież do tego stopnia nie liczyć się z rzeczywistością i prawdą historyczną. A ta wygląda całkiem inaczej, bynajmniej nie tak dramatycznie i nie tak poetycznie.

Od kiedy datują się kiermasze w dniu św. Kazimierza, tego oczywiście ustalić dziś nie potrafimy. Wątpić jednak można, aby sięgały czasów tak zamierzchłych, w jakie przenosi je imaginacja prof. Limanowskiego. A w każdym razie obecnego charakteru pogańskiego „święta wiosny”, (jak chce autor) przekształconego na jarmarczną zabawę ludową nabrały one względnie od niedawna. Gdyby i dawniej Kaziuki cieszyły się taką popularnością, jak obecnie, napotkalibyśmy o tym kiermaszu jakąkolwiek wzmiankę w aktach miejskich, a przynajmniej w opisach i wspomnieniach Wilna.

Tymczasem Kraszewski, który w swej historii, w swych obrazach i powieściach tak szczegółowo opisał zwyczaje i tradycje wileńskie, nigdzie ani słówkiem nie wspomina o „Kaziuku”. Nie figuruje on też w żadnych spisach znacniejszych jarmarków krajowych. W którymś starym kalendarzu natrafiłem jedynie na wzmiankę, że w d. 4 marca odbywa się w Wilnie jednodniowy targ na naczynia. W jednym z roczników „Tyg. Ilustrowanego”, czy „Kłosów”, mniej więcej z połowy ub. wieku, widziałem również rycinę Dmochowskiego z podpisem: „Targ na naczynia drewniane w Wilnie”, wyobrażającą kiermasz na placu Katedralnym. Niewątpliwie też pierwotnie miał on taki właśnie charakter specjalny, bardziej cichy i wiejski. Dopiero w drugiej połowie XIX w. rozszerzył swe ramy i zamienił się w hałaśliwy jarmark miejski, przypominający zresztą niezmiernie „narodnoje gulanje” w niedzielę Palmową na Krasnym placu w Moskwie.

Jarmarkiem na wielką skalę, na który zjeżdżali się kupcy zewsząd, nawet z głębokiej Rosji były t: zw. „budy majowe”, datujące się również od niezbyt dawnych czasów, bo od r. 1827, i również odbywające się na placu Katedralnym w okresie od d. św. Jerzego do dnia 15 maja. Przed wojną za-

częły już zamierać a po wojnie nie odżyły całkiem.

I „Kaziuk” i „budy majowe” zostały przeniesione z pod katedry na Łukiszki bynajmniej nie ze względów politycznych i nie z obawy przed wpływem na lud wspomnień historycznych, bijących od figur św. Stanisława i św. Kazimierza, ale pro prostu dlatego, że na placu Katedralnym rozpoczęto w r. 1900 roboty nad wzniesieniem pomnika Katarzyny i zajęto znaczną jego część pod skwer, okalający pomnik.

Tak się oto przedstawia szara rzeczywistość, całkiem niepodobna do fantazji p. Limanowskiego, Niestety nie pierwsza i nie jedyna to bajka, jakimi w ciągu ostatnich lat raczy bezkrytyczne audytorjum wileńskie niestrudzony improwizator.

Licz.

Mała mistyfikacja w „wielkiej”.

Czytelnicy nasi może przypominają sobie notatkę zamieszczoną w połowie ubiegłego roku w „Przeł. Wil.” o korespondencji z Charbinu, jaka się ukazała w „Kurjerze Warszawskim”, a która zawierała stek oszczerstw i insynuacji pod adresem ks. infułata F. Abrantowicza. W obronie niecznie oszkalowanego kapłana-Białorusina zabrała głos w jakiś czas potem na łamach naszego pisma p. Konstancja Skirmunt. Obecnie otrzymujemy rzeczowe sprostowanie zawartych we wspomnianej korespondencji kalumnij od samego ks. Abrantowicza. Znaczne opóźnienie tej odprawy tłumaczy się 1) wielkiem odaleniem au ora od kraju oraz 2) bezskutecznymi usiłowaniami zamieszczenia jej zarówno w „Kurjerze Warszawskim”, jak w innych pismach pretendujących do miana organów „katolickich”.

W Nr. 180 „Kurjera Warszawskiego” d. 41 lipca b. r. zamieszczoną została korespondencja pióra p. G. Emeryka p. t. „Wielka mistyfikacja” — z powodu mojej działalności, rzekomo szkodliwej dla katolicyzmu i polskości w Charbinie.

Trzymam się zasady niewdawania się w polemiki prasowe. Wierzę mocno, że prawda sobie drogę znajdzie i bez tych polemik, najczęściej szkodliwych. Jeżeli obecnie piszę to sprostowanie, to dlatego, że z racji mojej osoby, p. Emeryk potrafił o instytucje i osoby trzecie i wprowadził w błąd publiczną opinię polską, narażając ją co najmniej, na małą mistyfikację w sprawie bardzo doniosłej. I tak:

1. Nieprawdą jest, że kazania rosyjskie w polskim kościele katolickim w Charbinie w r. 1924 były przez parafjan *in gremio* opuszczane i że ich dlatego, po kilku próbach, zaniechano. Kazania te były i są mawiane dotychczas przez proboszcza, obok polskich, w większe święta, kiedy chętnie przychodzą Rosjanie. Nawet ja miałem, na prośbę proboszcza, takie kazanie do Rosjan w tym roku na Wniebowstąpienie Pańskie st. st. Czyżby p. Emeryk żądał, żeby broń Boże, przez Kościół polski nie trafiła prawda katolicka do Rosjan, lub sądził, że przez to spadnie jaka infekcja na Polaków? Ładny mi katolicyzm i ładna polskość! Przy okazji można zaobserwować ciekawy fakt psychologiczny. P. Jastrzębiec w „Troskach kolonii polskiej w Charbinie” („Wychodźca” Nr. 3 z 15 st. 1928) tak pisze: „Kazania w kościele katolickim w Charbinie odbywają się i po rosyjsku”. Jeden wspomina o fakcie, by podsunąć myśl o jego szkodliwości, inny, wychodząc z założenia szkodliwości tegoż faktu, zaprzecza jego istnieniu!..

2. Nieprawdą jest, że wyszukano zasuspendowanego duchownego prawosławnego, nazwiskiem Koronin, Koroninów było dwóch — obaj duchowni, obaj umarli. Niewiadomo o którym mowa, ale ani jeden ani drugi nie był zasuspendowany. Czyżby p. Emeryk uważał za suspensę fakt, iż ś. p. Jan Ko-

ronin (ojciec) był uroczyście anatematyzowany przez Cerkiew prawosławną za przejście na katolicyzm i czyby chciał, by rodzina Koroninów i szerokie koła, ich dobrze znające, upominały się przed sądami o cofnięcie kalumnii? Konstancy Koronin (syn), z wykształceniem akademickim, pierwszy rozpoczął w tutejszym soborze prawosławnym nawoływać do jedności z Kościołem katolickim, ojciec Jan sam dobrowolnie prosił o przyjęcie na łono Kościoła. Miałożby i to szkodzić polskości i trzebaby unikać przyjmowania Rosjan do Kościoła nie łacińskiego i nie polskiego?..

3. Nieprawdą jest, że mianowano mnie proboszczem nieistniejącej parafii unickiej i administratorem kościołów rz.-katolickich na Syberji. Jestem naznaczony przez Stolicę Apostolską ordynariuszem dla Rosjan katolików obrządku wschodniego na całe Chiny z rezydencją w Charbinie. Z Syberją nic mnie nie łączy. Chwilowo mianowano mnie (do czasu wyszukania administratora) wikariuszem Administratora Ap. na europejskie parafje łacińskie w Charbinie, ale od tego jak mogę się wypraszam. Wiernych wschodniego obrządku mam w Chinach przeszło 200 osób, a w Charbinie 50, oczywista nieorganizowanych. Gdybym miał tylko 7, jak pisze p. Emeryk, albo i tego nie miał, nie znaczy, że Stolica św. dopełniła „wielką mistyfikację”, posyłając mię tu. Chrystus na razie nie miał nikogo. Nie z liczb rodzą się idee, ale z idei liczby, a czyżby p. E. porwał się na odmawianie Chrystusowej i katolickiej idei jedności wiary w różności obrządków i języków—prawdziwie Bożej wielkości i wspaniałości—i chciałby jej przeszkadzać?..

4. Nieprawdą jest, że pod moją presją tutejsze zakonnice Franciszki przeszły na unję, jak również nieprawdą, że Urszulanki charbińskie otrzymały odemnie propozycję przejścia na obrządek wschodni i temu stanowczo się oparły. Ani propozycji, ani oporu nie było. Nonsensem jest (używam słów p. Emeryka) nawracać katolików obrządku rzymskiego na katolicyzm obrz. bizantyńskiego. Powiem więcej — nikt nie ma prawa tego czynić, jak też i nie wolno nikomu nikogo z obrządku wschodniego (niezależnie, czy kto się urodził katolikiem, czy inowiercą) „nawracać” na obrządek łaciński. Jeżeli mi p. Emeryk nie wierzy, niech zajrzy do bulli Benedykta XIV „*Allatae sunt nobis*” i do Prawa Kan. §§ 98. Prawdą jest niestety, iż SS. Urszulanki tutejsze w lutym zeszycie „Misyj Katolickich” r. b. napisały, że je namawiam, aby przeszły na obrz. grecki, ale nie każde pisanie jest zgodne z rzeczywistością. Cemu tak się stało w tym wypadku wolę nie wiedzieć. Same Urszulanki potrafią to lepiej wytłómaczyć, nie krzywdząc nikogo. Z wielką przykrością o tem wspomina i to tylko dlatego, by p. E. nie powołał się na to, jako na dowód niezbity, i nie zmuszał mnie do ponownego zabierania głosu.

5. Bardzo niefortunnie broni p. E. seminarjum i konwentu. Wchodzi do cudzego domu i daje wskazówki właścicielowi, do czego i jak on ma tego domu używać. Seminarjum, w którym z woli Stolicy świętej zamieszkałem, od początku swego istnienia, ma za zadanie wychowywać kler dla Rosji, razem z Instytutem Misyjnym w Lublinie, w obrządkach łacińskim i greckim. Mogą tu przychodzić Polacy, ale nie znaczy, że nie mogą Rosjanie. O tem seminarjum autorzy „Polaków na Dalekim Wschodzie” (Charbin, 1928, str. 99) tak piszą: „Powyższa instytucja nie powstała z inicjatywy Polaków i nie otrzymuje żadnych subsydjów, ani od tutejszych Polaków, ani z Polski, ale swe istnienie zawdzięcza jedynie Ojcu św...” Czyżby Ojciec święty, najwyższy Kierow-

nik dusz i Właściciel wszelkiej własności kościelnej, nawet polskiej, nie miał prawa pozwolić mi wejść do domu, który sam kupił i zawiesił go, choćby cały, obrazami obrządku wschodniego, których, *notabene*, żadnego nie przywoziłem. To samo trzeba powiedzieć i o konwencie dla dziewcząt, kosztującym więcej ponad 100,000 yen, z czego jeszcze $\frac{2}{3}$ nie zapłacono. Urszulanki przyjechały nie wyłącznie dla dzieci polskich. Niech p. E. sam je spyta. Jeżeli chodzi o promieniowanie kultury polskiej, nie można go opierać na tem tłómaczeniu zasad katolickich, jakie podaje korespondent z Charbina.

6. Napróżno dowodzi p. E., że Unja jest niepotrzebna Polakom, Chińczykom, Mandżurom, bo nie jestem tu posłany ani dla pierwszych, ani dla drugich, ani dla trzecich, ale dla Rosjan. Dowodzić zaś, że nie można tu pracować dla Rosjan w duchu Unji, gdyż to szkodzi Polakom, jest koszlawieniem katolicyzmu przez zacieśnianie go do jednego tylko obrządku i narodowości, głoszeniem wojny wszystkich przeciwko wszystkim, słowem — jest absurdem.

7. Nawoływanie do obrony tutejszego kościoła i polskiego gimnazjum od „zarządu unity-Białorusina” jest walką z wiatrakami donkichotowskiemi. Wrogiem Kościoła ani Polaków nie jestem, zresztą żaden zarząd z mojej strony nie grozi. Nawet od prowizorycznego się wymawiam, a jeżeli mi go chwilowo poruczono, to chyba tylko dlatego, że polska kolonja tutejsza w zgodzie ze sobą użyć się nie może, czem utrudnia Stolicy św. wynalezienie Administratora, któryby wszystkim mógł dogodzić. Podsuwanie Chińczykom myśli odebrania placu całkiem niepotrzebne. Szczęście tylko, że Chińczycy często mądrzejsi są od swoich doradców.

8. W korespondencji p. Emeryka wyglądam niemal na samozwańca, wicherzyciela, zdrajcę Kościoła (dobrze, że choć może nieświadomego, jak zaznacza korespondent). Wcale nie mam za złe tego p. E., bo zanadto wielką jest jego nieświadomość zasad katolickich i faktów, które porusza. Wszystkie instytucje i osoby wymienione są w Charbinie i mogą dać świadectwo prawdzie, jeżeliby tego była potrzeba. Najsmutniejsza, że p. E. dzięki mojej biednej osobie, chce dyktować Kościołowi, co i jak on ma rozumieć i czynić. Co najmniej za dużo pretensji, a za mało kompetencji. W polemiki historycznej, w nauczanie katechizmu i namawianie p. E. do praktykowania go nie czas i nie miejsce się bawić. O. F. A.

List do Redakcji.

Czcigodny Panie Redaktorze!

W związku z listem ks. Borodzicza, który przytoczył Pan w № 14—15 (z r. 1929) swego pisma jako curiosum, proszę o umieszczenie kilku moich uwag, spóźnionych z racji mej służby wojskowej.

Stwierdzam więc, że:

1) Jestem wyłącznym autorem notatki: „Nowa afera ks. Borodzicza” w № 141 „Kurjera Wileńskiego” 1929.

2) Opis działalności OO. Marjanów przez ks. Borodzicza zawiera szczegóły bądź fałszywie przedstawione, bądź wysane z palca.

3) Wszystkie informacje dotyczące się mej osoby, a więc fakt „kupna” mię przez ks. Cikotę, twierdzenie jakoby robił patriotyczne, obłudne szopki dla mych władz szkolnych, wreszcie przypisywanie mi akcji rusyfikatorskiej — są kłamstwem bez jakichkolwiek, pozornych nawet, podstaw faktycznych. Wyrażenie o mnie — Polaku z urodzenia i przekonania, że kontynuuję robotę siepaczy carskich jest oszczerstwem.

4) Dziwi mię, że władze kościelne mogą tolerować w swych szeregach człowieka niepoczytalnego w słowach i czynach.

Proszę przyjąć etc.

Stanisław Matczak
b. nauczyciel matem. i fizyki
Gimnazjum im. Batorego
w Druł.

Jarocin 13-II 1930.

Zgon znakomitego lingwisty litewskiego.

Dnia 25 lutego zmarł w Kownie najwybitniejszy, po śmierci K. Bugi, znawca języka litewskiego ś. p. Jan Jabłoński.

Urodzony w r. 1860 we wsi Kubile w Suwalszczyźnie, Jan Jabłoński ukończył gimnazjum w Marjampolu ze złotym medalem oraz następnie studia filologiczne odbył na uniwersytecie moskiewskim.

Jako Litwin nie mógł zająć na terenie Litwy stanowiska nauczyciela i zmuszony był do udzielania lekcji prywatnych oraz do zajęcia posady urzędnika sądowego. Pracy, odpowiedniej do swych zdolności i kwalifikacji miał możliwość oddać się na obczyźnie, najpierw w charakterze nauczyciela języków w gimnazjum mitawskim, a następnie w Tallinie (Rewlu).

Za udział w kolportowaniu druków litewskich został wysiedlony w głąb Rosji.

Spędziwszy na wygnaniu rok w Pskowie, ś. p. Jabłoński uzyskał pozwolenie na powrót do kraju i przeniósł się do Wilna, gdzie współpracował w pismach litewskich i wykładał język litewski w szkołach.

Po r. 1905 uzyskał stanowisko nauczyciela języka litewskiego w seminarjum nauczycielskim w Poniewieżu. Na stanowisku tem pozostaje jednak niedługo i zmuszony jest tułać się po różnych miejscowościach, nawet poza granicami kraju. Po wybuchu wojny światowej zmuszony jest opuścić kraj i bawi przez jakiś czas w gub. witebskiej, poczem zostaje zaproszony przez kolonję litewską do Woroneża, gdzie powstało gimnazjum litewskie. Tu pisze szereg podręczników. W tym okresie podupada całkiem na zdrowiu i ustępuje ze stanowiska nauczyciela gimnazjum.

Po powrocie do Kowna Jabłoński natychmiast rozpoczyna pracę na polu językoznawstwa. W roku 1922, po założeniu uniwersytetu litewskiego, Jabłoński wraz z K. Bugą zostają zaproszeni na profesorów jęz. litewskiego. Choroba jednak zmusza nieboszczyka do porzucenia stanowiska profesora uniwersytetu. Z prac J. Jabłońskiego należy wymienić „Lietuviu kalbos gramatika” (gramatyka języka litewskiego), popularne wypisy „Musu Wargai” oraz szereg studjów językowych.

br.

Przegląd prasy żydowskiej.

„Klub Myśli Państwowej” i lojalność Żydów wobec państwowości polskiej — Demokracja polska a świadectwo chrztu przy wstąpieniu do Instytutu Badań Europy Wschodniej.

Jak wiadomo z prasy codziennej, w Wilnie powstało nowe ugrupowanie żydowskie zbliżone do sfer demokratyczno-sanacyjnych. Wobec szczupłej ilości zwolenników ukonstytuowało się ono pod nazwą „Klub Myśli Państwowej”. Na zebraniu organizacyjnym tego Klubu wypowiedziano się też między inn. w kwestji żydowskiej, przyczem wyrażono pogląd, że trudność rozwiązania zagadnienia żydowskiego w państwie polskim należy przypisać jedynie temu, że Żydzi nie są w stałym kontakcie z demokracją polską; zadaniem więc tego nowego klubu

będzie nawiązanie i utrzymywanie stałego kontaktu z demokracją polską.

Wileńska „Cajt” występuje przeciwko nazwie tego „Klubu”, widząc w niej pewną aluzję do reszty stronnictw żydowskich, jakoby te były nielojalne wobec państwowości polskiej.

„Założyciele nowego asymilatorskiego stronnictwa w Wilnie użyli podstępного środka dla przyciągnięcia zwolenników. Za pomocą nazwy „Klub Myśli Państwowej” chcieli oni wyrazić, że tylko ich stronnictwo stoi na gruncie państwowości polskiej, reszta jest nieprawomyślna, że należąc do klubu mogą tylko ci, co są lojalni wobec państwa polskiego, licząc, że ci, co zechcą zademonstrować swoją lojalność, zapiszą się na członka tego Klubu. Ale inicjatorzy się grubo mylą: Żydzi nie dadzą się wciągnąć w tę aferę polityczną. Same powołanie momentu lojalności jest bezczelnością, która odepchnie od tego ugrupowania każdego świadomego Żyda. Który to Żyd nie jest lojalny wobec państwa? Czy nie płaci on podatków? Czy nie dajemy naszych dzieci do wojska? A może prowadzimy propagandę antypaństwową? Pytanie, czy państwo jest lojalnem wobec nas.

I pismo kończy:

„Obecnie inne wiatry wieją w łonie społeczności żydowskiej. Do świadomości naszej dochodzą inne zgoła orientacje, które torują drogę innym kierunkom politycznym. Ci zaś, którzy nie biorą udziału żadnego w żydowskim ruchu odrodzeniowym, nie znają naszej duszy narodowej, nie mogą wiedzieć czego nam potrzeba, a przeto nie mogą pretendować do roli przywódców jakichkolwiek prądów społeczno-politycznych nurtujących nasze społeczeństwo”.

Tę samą sprawę porusza też „Winer Tog”.

„Był czas, gdy się mogło zdawać, że ulica żydowska uwolniła się raz na zawsze od swych nieproszonych opiekunów, dla których całe żydostwo jest tylko zjawiskiem egzotycznym a przynależność do narodowości żydowskiej — głęboką obrazą. Nagle powstaje w Wilnie Klub, złożony z ludzi, którzy dzięki swym nosom i innym cechom anatomicznym nie mogą przejść zupełnie do innego obozu. Starają się oni przeto wnikać w organizm żydowski, aby zburzyć tam wszystko, co zostało zbudowane z takim wysiłkiem”.

„Niebezpieczeństwo tego Klubu jest tem większe, że nie wykazuje on swego istotnego asymilatorskiego oblicza”.

Autor powyższego artykułu nie ma zaufania do demokracji polskiej, z którą inicjatorowie Klubu Myśli Państwowej chcą nawiązać kontakt. Dla ilustracji autor podaje jako przykład założony świeżo w Wilnie Instytut Badawczy Europy Wschodniej, który od nowowstępujących do tego Instytutu studentów wymaga przedłożenia między innymi dokumentami również świadectwa chrztu.

„Tego samego dnia, gdy w prasie ukazały się wiadomości o powstaniu oddziałów Klubu Myśli Państwowej na prowincji, w ten czas gdy Żydzi znaleźli ten uciążliwy kontakt z polską demokracją, po mieście rozplakatowano duże afisze o założeniu Instytutu Badawczego Europy Wschodniej i o przyjęciu zapisów słuchaczy do uczelni przy tym Instytucie. Przy tem jest mały warunek: aby być przyjętym do tego Instytutu trzeba przedłożyć świadectwo chrztu. Nie wiemy dlaczego. Czytając te plakaty, przyszedł mi na myśl Klub Myśli Państwowej. Przecież założycielami Instytutu Europy Wschodniej są ci sami ludzie, którzy wydelegowali swych żydków do założenia tego Klubu.

Jest obowiązkiem uświadomionej części społeczeństwa żydowskiego wyjaśnić przedewszystkiem istotne cele Klubu. Co do Wilna jesteśmy pewni. Społeczeństwo wileńskie nie pójdzie na przynętę tych nieproszonych opiekunów. Ale na prowincji? Tu trzeba prowadzić energiczną akcję uświadamiającą. Trzeba w miasteczkach ogłosić, że członkowie Klubu Myśli Państwowej są agentami tej „demokracji”, która żąda świadectwa chrztu przy zapisaniu się do Instytutu Wschodniego”.

J. H.